Zeszyt 11. Lwów dnia 20. Kwietnia 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

XXXI.

Na Kleparzu stały wozy góralskie. Każdy był długi, szeroki, mocny, na osiach żelaznych, i każdy miał na wierzchu ogromną budę z płótna białego, która podróżnych chroniła od deszczu, wiatrów i gorąca. Przy wozach stały konie gryząc siano, rosłe i silne, a uprząż na nich z rzemieni i kółek mosiężnych, świadczyła zaszczytnie o dobrym smaku ich właścicieli. Górale na kilka grup podzieleni wesoło rozmawiali. Z wiosek Tatrzańskich przywieźli oni bądź płody swego gospodarstwa, bądź podróżnych, a teraz czekają, czy ich kto znowu nie będzie potrzebował. Chociaż w Tatrach i chłodno i głodno, górala nigdy dobry humor nie opuszcza; to też rozmawiając śmieli się swobodnie, jakby ich żadna bieda nie gniotła.

Na boku stał p. Wybicki z Wandzią, przed nimi zaś góral niski, krępy, o twarzy wesołej i oku bardzo bystrem, a poczciwem. Nie lubiąc żydów, p. Wybicki postanowił nająć sobie w Radomskie jakiego górala, bo ci i konie mają dobre i powszechnie są znani z uczciwości. Sprawa jednak nie szła łatwo. Góral znał drogę z Zakopanego do Krakowa i z powrotem, lecz o Pilawicach, o których mu p. Wybicki wspominał, pierwszy dopiero raz słyszał. Bóg raczy wiedzieć jak tam daleko i którędy droga wiedzie! P. Stanisław bojąc się by się układy nie rozerwały, wystąpił z nową propozycją:

— Widzisz mój kochany — rzekł — ja ciebie w pole nie myślę wyprowadzić i dla tego zgódźmy się na dni... Za każdy dzień osobno ci zapłacę.

— A jak oni tylko tam zapłacą, to kto mi z powrotem zapłaci? Psecie ja musę wrócić do Krakowa, bo jeno tędy mogę jechać do Poronina.

— Więc zapłacę wam i tam i z powrotem.

Góral w głowę się poskrobał; propozycja bardzo mu się podobała, lecz wahał się jeszcze bo tam nigdy nie był. Po chwili rzekł:

— Oni mogą jechać pses granicę bo „pas“ mają, ale ja nie mam.

— O tem nie potrzebujecie myśleć, w tem już moja głowa. Jak się zgodzimy, po południu dostaniecie paszport w policji.

Góral byłby się może jeszcze namyślał gdyby nie jego towarzysze, którzy mu w pomoc przyszli. Wyrozumiawszy o co rzecz idzie, powiedzieli mu otwarcie, że jak on się nie zgodzi, każdy z nich zaraz pojedzie. To poskutkowało. Góral zgodził się, wziął zadatek a usłyszawszy kiedy i gdzie ma przyjechać, pocałował w rękę najpierw pana, potem panienkę i kłaniając się raz ostatni zawołał:

— A niech się jeno wcas zbiorą, zebym potem nie cekał... Mnie juz i bez tego ckliwo w Krakowie.

Ta „ckliwość“ miała znaczyć, że poczciwy góral dobrze się wynudził. P. Wybicki uwolnił go też prędko od nudów i tęsknoty za górami, w kilku bowiem godzinach wyrobił mu w policji przepustkę przez granicę, ważną na dni czternaście, przy pomocy córki spakował wszystkie rzeczy, na chwilę pojechał z nią na cmentarz, aby raz jeszcze pomodlić się na grobie Bolcia, na którym stał skromny pomnik z napisem równie skromnym, a wróciwszy wsiedli na wóz, na którym góral

mimo kufrów i walizek zrobił dwa miejsca wygodne i z ciężkiem sercem z Krakowa wyruszyli.

Góral bawił ich w drodze jak umiał. Opowiadał różne historje głośne w Szaftarach, Poroninie i Zakopanem; mówił o swoich turniach czyli górach, między któremi Gewont niepoślednie miejsce zajmował; o Dunajcu, w którym woda taka zimna, że nieprzyzwyczajony do niej, wskoczywszy choćby raz jeden, wygląda zaraz jak rak czerwony; o juhasach owce pasących, którzy całe lato żyją czystą serwatką; o serkach w szałasach wyrabianych i o bocianie, który przed kilku laty w ich strony przypadkiem zaleciał, lecz prędko się wyniósł, bo między kamieniami po których chodzić nie umiał, nawet żaby nie mógł sobie znaleźć. Nasi znajomi słuchali opowiadania z zajęciem, bo chociaż to nie były rzeczy zajmujące, zwłaszcza, że tamtych stron zupełnie nie znali, wszakże góral tak żywo opowiadał, przeplatając swoją mowę zdrowemi żartami, że p. Wybicki nie raz się uśmiechnął, a i Wandzia ilekroć rwała mu się opowieść, natychmiast ją nawiązywała, rzucając mu nowe zapytanie. Pod górę, aby koniom ulżyć, góral z wozu zeskakiwał, za jego przykładem i wbrew jego protestom szli zaraz podróżni, a wtedy rozmowa jeszcze bardziej się ożywiała.

Trzeciego dnia nad wieczorem, po tysiącznych wypytywaniach i kikakrotnem zbaczaniu z drogi prawdziwej, stanęli nareszcie w Pilawicach.

Gdy do wsi wjeżdżali, Wandzia drzemała ze znużenia, z czego ojciec skorzystawszy, usiadł obok górala, aby przypatrzeć się tej wiosce, po której chłopcem biegał. Co czuł, jeno ten odgadnie, kto młodzieńcem z rodzinnego gniazda wyrzucony, wracał do niego po dwudziestu ośmiu latach, znękany, złamany, mimo lat jeszcze niepodeszłych, starcem zgrzybiałym! Taki wita gniazdo ojczyste, myśląc sobie — obym choć tu złożył głowę skołataną!

Chaty wieśniacze jedne w ziemię się zapadły, inne były nowe; drzewa przy nich podrosły, płoty jak dawniej świeciły dziurami, kapliczka w środku wioski, snać przez nikogo niedoglądana, miała dach popsuty, w szklannych drzwiach wszystkie szyby wybite i mury z tynku odarte, a droga środkiem wiodąca, była jak przed dwudziestu ośmiu laty, pełna wybojów i rowków, które woda deszczowa biegnąc z pól wyżłabiała. Ludzi nie było widać. Wszyscy oni siedzieli już w chatach przy łuczywie i tylko gdzieniegdzie za płotem można było dojrzeć postać dziecka lub kobiety przypatrującej się ciekawie budzie, niewidywanej w tych stronach. Na końcu wsi, przy ogniu w jamie płonącym, widać także było kilka niewiast i chłopców zajętych suszeniem konopi, wszakże ich twarzy, z powodu zmroku zapadającego i oddalenia, p. Wybicki nie mógł dojrzeć. Ale choćby i zobaczył, czyż by ich poznał? Wszak już dwadzieścia ośm lat temu jak pożegnał swoją wioskę! W tym czasie dzieci zrobiły się mężczyznami i kobietami, dorośli postarzeli się i pochylili, a starcy poszli spać pod mogiłę zieloną!

Góral odgadując myśli i uczucia pana Wybickiego, teraz ani słowa doń nie przemówił; nawet koni nie zachęcał by szybciej biegły, z czego one skorzystawszy, postępowały wolno, krok za krokiem, jakby szły nie równiną, lecz po kamieniach wspinały się do Oka Morskiego. Za wsią pan Wybicki kazał góralowi stanąć, co on niezwłocznie uczynił.

Z tego miejsca widać było dwór Pilawicki, postawiony na małym pagórku, z kwiatowym ogrodem na przodzie, z warzywnym i owocowym w tyle, cały otoczony wyniosłemi lipami, których korony rozłożyste chroniły go od przykrych wiatrów północnych. Budynek był długi, parterowy, z oknami włoskiemi, taki sam jak przed laty trzydziestu. Rzeczami nowemi były chyba weranda oszklona, którą pośrodku dworu p. Ludwik zastąpił dawny ganek wsparty na ośmiu kolumnach, jakaś mała wieżyczka, przyczepiona do lewego skrzydła, mająca niby basztę przedstawiać, nareszcie klomby kwiatów, ozdobione kilkunastu baniami szklannemi o kolorach rozmaitych, z których połowa była porozbijana. Dawniej przed domem był trawnik okazały, na jego zaś środku gołębnik z chorągiewką blaszaną, obracającą się za każdym wiatru powiewem. Okna we dworze były wszystkie ciemne.

Postawszy tak chwilę, p. Wybicki odetchnął głęboko, jakby całą piersią chwytał to powietrze stron rodzinnych, do którego lat tyle tęsknił, otrząsnął się z zadumy i kazał zajechać; wóz zawadziwszy osią o jednę połowę bramy, która nie była na oścież otwarta, zatrząsł się i tem Wandzię obudził. Góral z bata strzelając zajechał przed werandę, wśród ujadania kilku ogarów wychudzonych, które usłyszawszy turkot obcy ich uchu, z różnych stron nadbiegły. Na ten hałas we drzwiach od werandy pojawił się chłopak może czternastoletni, bosy, rozczochrany, w pluderkach drelichowych sięgających do kostek, w kamizelce czerwonej z białemi guzikami, zapiętej tylko pod szyją a rozpiętej na piersiach, którą osłaniała koszula niewiadomego koloru. Równocześnie z poza rogu domu wychyliły się dwie czy trzy postacie niewieście, a za niemi na drodze z kurników do domu, zatrzymał się drugi chłopak w białym fartuchu, zapewne kuchta, trzymający w ręku kaczkę, która krzyczała głosem przeraźliwym, urywanym.

Gdy p. Wybicki z wózka wyskoczywszy pomagał Wandzi wysiąść, psy wyciągnęły nosy

ku niemu i ucięły; chłopak zaś trzymając ręce w kieszeniach zawołał:

— Jeżeli po kweście, to nie ma po co wstępować... Pan pojechał na imieniny do Zarzecza, a pani Malinowska z kucharzem pojechała do miasta.

Nowoprzybyły nie zwracając na to uwagi, wysadził Wandzię i kazał kufry zdejmować. Chłopak widząc taką młodą i piękną panienkę, wytrzeszczył oczy ze zdziwienia, otworzył gębę, a gdy podróżny trochę energiczniej rozkaz powtórzył, spojrzał na niego, potem znowu na pannę, poskrobał się w głowę i ciągle się oglądając, poszedł do domu. Po chwili zjawił się drągal, na którego widok psy z radości skakać zaczęły i lubo niechętnie, zaczął wespół z góralem znosić kufry na werandę. Gdy wszystko było skończone i konie ku stajniom odjechały, p. Wybicki przemówił:

— Szkoda że pana nie ma, ale my i bez niego sobie poradzimy. Daj nam światło i pokaż gdzie są pokoje państwa.

— A kiedy wszystkie pokoje zamknięte i pani Malinowska klucze zabrała. Światła także nie ma, jest jeno w kuchni kaganek.

— Więc będziemy radzić sobie przy kaganku — odpowiedział gość, jak widać nieproszony, niczem się nie odstraszając.

Chłopak ociążale, niechętnie poszedł po kaganek, przy którego słabym blasku pan Wybicki zaczął się rozglądać w nowem położeniu.

Na werandzie przestronnej i napół pustej, stało kilkadziesiąt wazoników z kwiatkami usychającemi, bo ich widocznie nikt nie doglądał, kanapka ogrodowa z leszczyny i kilka stołków takiej samej roboty. Z werandy wchodziło się do dużego przedpokoju, w którym prócz sofki i kilku krzesełek znajdowało się jeszcze zwierciadło, a pod niem mały stoliczek; ztąd drzwi na prost wiodły do sieni i te były otwarte, a na lewo i prawo do pokojów, które pani Malinowska zamknęła odjeżdżając.

Ponieważ czekanie na werandzie lub w przedpokoju, przy świetle kopcącego kaganka nie należało do wielkich przyjemności, więc pan Wybicki zaglądnął do kuchni aby się przekonać, czy z Wandzią nie mógłby się tam pomieścić. Zaledwie jednak drzwi otworzył, cofnął się, niemiłego doznawszy wrażenia. Na środku kuchni, oświetlonej ogniem silnie płonącym na kominie, stały nimfy domorosłe, wśród obłoków pary, która ulatniała się ze świeżo mytej podłogi. Wśród takich warunków nie pozostawało nic, jak czekać w przedpokoju.

— A pani Malinowska kiedy wróci? — zapytał chłopaka, gdy ten palcami oczyszczał knot kaganka.

— Powinnaby wnet przyjechać. Jak tylko nasz pan za bramę, ona zaraz z kucharzem na dryndulę i hejże! do miasta na cały wieczór.

— A nie mieszka tu gdzie blisko ekonom lub rządca?

— Oni mieszkają za wsią, od Radomia... będzie ztąd dobre pół mili.

— Czy jest tam teraz folwark?

— Pewnie że jest.

— Mój chłopcze, może macie gdzie samowar i trochę herbaty.

— Oj nie ma proszę pana, pani Malinowska wszystko zamknęła.

Wandzia, którą przyjazd do domu rodzinnego wśród okoliczności nie tyle nieprzyjaznych co komicznych dość wesoło usposobił, zaczęła prosić ojca by się nie irytował, a wyjąwszy zapasy z torebki podróżnej, zaimprowizowała wieczerzę, którą popili wodą z garnuszka glinianego. Ojciec jadł, bo był głodny, ale nic nie mówił i wąsy przygryzał.

Nareszcie o godzinie 10ej zatoczyła się po drugiej stronie domu dryndula z panią Malinowską i kucharzem. Pierwsza usłyszawszy, że jacyś goście przyjechali, wbiegła na werandę w płaszczu i kapeluszu, których pospiech nie pozwolił jej zrzucić. Po twarzy okrągłej i rumianej łatwo można było poznać klucznicę.

— Dzięki Bogu, żeś się pani przecie pokazała — rzekł pan Wybicki. — Przyjeżdżam do Pilawic i myślę żem u siebie, a tu wszystko pozamykane. Żywa dusza się nie pokaże.

— Z kim mam honor? — zapytała klucznica poważnie dygając.

— Z kim?! Jestem rodzonym bratem pana Ludwika Wybickiego.

— Słodkie drzewo krzyża świętego! — zawołała pani Malinowska żegnając się ze zdziwienia i przestrachu. — A któżby to był przypuścił, że jaśnie pan z dzikich krajów do nas przyjedzie! Słodkie drzewo krzyża świętego, jakaż to radość będzie dla naszego pana. Mój Boże! a jam się dzisiaj tak spóźniła... tyle miałam sprawunków, w spiżarni nic już nie było.

— Dobrze moja pani, dobrze, lecz zechciej nam tymczasem jaki pokój otworzyć.

— Zaraz! zaraz!... O słodkie drzewo krzyża świętego!

Klucznica, biegając mimo lat czterdziestu jak dziewczynka czternastoletnia, pootwierała pokoje przy pomocy Marcinka, który w mgnieniu oka pojawił się w nowej liberji, pozapalała lampy, a zadysponowawszy wieczerzę, zajęła się herbatą. Biegając i rozkazy wydając wspominała ciągle o próżnej spiżarni, którą potrzebowała zapełnić, ilekroć zaś spojrzała na pana Stanisława lub jego córkę, wzdychała mówiąc: O! słodkie drzewo krzyża świętego!

Po herbacie, która humor poprawiła, pan Wy-

bicki ze światłem w ręce przeszedł się po pokojach, szukając tych kątów i sprzętów, które tkwiły w jego pamięci. Próżne jednak nadzieje! O ile na zewnątrz dom był do dawnego podobny, o tyle wewnętrzne jego szaty całkiem były zmienione. Stare meble ustąpiły miejsca nowoczesnym, obrazy w ramach poczernionych, zastąpione innemi w złoconych, w każdym pokoju widać było wielkie zwierciadło, przy drzwiach portjery z jedwabnej materji, u okien wisiały firanki kosztowne, na szklących posadzkach leżały kobierce — słowem, dawna skromność szlachecka została wyrugowana przez wymagania pańskości. Z tem wszystkiem oko bystre a przytomne musiało natychmiast zauważać, że w urządzeniu całego domu brakowało czegoś, jak gdyby smaku i ręki niewieściej, zajmującej się troskliwie najmniejszym drobiazgiem. Uderzyło to i pana Stanisława, poczem przyszła mu na myśl pani bratowa. Gdzież ona? Czemuż mi o niej nikt tu nie wspomniał? Może umarła... chciał już zapytać służbę, lecz dał pokój. Przecie brat wszystko sam mu powie.

Około północy poszli do pokojów gościnnych, które pani Malinowska przygotowała ze wszystkiemi wygodami i wkrótce znużeni trudami podróży, usnęli na miękkiem posłaniu.

Była ledwie szósta rano i szarzeć dopiero zaczynało, gdy ojca i córkę zbudził hałas piekielny, wśród którego rozróżnili krzyk kilku kobiet, płacz Marcinka i głos im nieznany, który wołał jak trąba Jerycho:

— Cicho hultaju! Gości mi pobudzisz!

Aby to zrozumieć, musimy cofnąć się wstecz o kilka godzin.

XXXII.

U państwa Rylskich, zamożych właścicieli Zarzecza z przyległościami, dzień św. Urszuli bywał z dawien dawna suto obchodzony. Był to dzień imienin samej pani, matrony lubianej i szanowanej na kilka mil w około, a że w domu były jeszcze duże panienki niewydane, więc dwudziesty pierwszy października obchodzono prawie zawsze tańcami, na które młodzież zjeżdżała się z najodleglejszych stron kraju, czasem nawet z Krakowa i Lwowa. Łatwo przypuścić, że z bliższej okolicy w tym dniu nikogo nie brakowało, a że p. Ludwik Wybicki należał do najbliższych sąsiadów, więc i na imieniny jeden z pierwszych przyjeżdżał. W tym roku zjazd był jak zwykle liczny i dobrze się bawiono, ale pan Ludwik jakoś nie miał humoru. On, który lubił pić za dziesięciu i śmiać się na całe gardło, że aż szyby się trzęsły, on siedział dziś w pokoju męzkim osołowiały i w preferansie, którego grał wyśmienicie takie bąki strzelał, że współgrający niejednokrotnie podnosili głowy aby się przekonać, czy pan Ludwik zbyt głęboko do kielicha nie zajrzał. Tymczasem pan Ludwik był trzeźwiuteńki, bo zaledwie wypił jeden kielich, wznosząc przy wieczerzy zdrowie solenizantki Z gości nikt więc nie wiedział co brakuje dziedzicowi z Pilawic, krom samego gospodarza, który się prawdy domyślał.

Pan Rylski trzymał *Czas* w Krakowie wychodzący i właśnie gdy pan Ludwik przyjechał na imieniny, on z dziennikiem wybiegł na ganek wołając:

— Niespodzianka, kochany sąsiedzie! wielka niespodzianka!

— Jak babcię kocham, ten tego... radbym wiedzieć jaka — odpowiedział sąsiad wysiadając.

— Czytaj sąsiedzie, czytaj!

Pan Ludwik spojrzał na miejsce w gazecie, które mu gospodarz palcem wskazał i jakby własnym oczom nie wierzył, przetarł je raz i drugi.

— Ten tego... — radośnie zawołał, — jak babcię kocham, to on!

— On, on! — potwierdził pan Rylski — Stanisław Wybicki z rodziną, z Paryża, w hotelu Drezdeńskim, przecie stoi czarne na białem, wyraźnie jak byk!

— On! jak babcię kocham on! — zagrzmiał pan Ludwik głosem potężnym i z płaczem gospodarzowi rzucił się na szyję. — Przecie zobaczę mojego Stasia i jego dzieci! On zapewne do mnie jedzie... Lecz czemuż nic nie doniósł o swoim powrocie do Europy? Ten tego... jak babcię kocham już wiem! Chciał mi zrobić niespodziankę, ale nie udało się, jak babcię kocham nie! Cha! cha! cha! — zaśmiał się na całe gardło i podnosząc oczy do nieba zawołał: — Panie Boże, Ty słyszysz a nie grzmisz?

Pan Ludwik utrzymywał, że grzmot jest objawem radości Boga, nie jego gniewu i mocno się dziwił, jeżeli wtedy, gdy on się cieszył, nad głową jego nie grzmiało. Jako dobry szlachcic święcie wierzył, że jego radości i smutki, są także w niebie smutkami i radościami, bo przecież Pan Bóg nie mógł mieć nic lepszego do czynienia, jak zajmować się takim starym jak on karmazynem.

Po wybuchu wielkiej radości, pan Ludwik prędko jednak osołowiał i cały wieczór mało pił i mówił, co widząc gospodarz, myślał sobie w duszy:

— Martwi się stary lekkoduch, że brat ruinę zastanie... Działy dotąd nie przeprowadzone, więc słusznie należy mu się połowa majątku i to czysta... A gdzie jéj szukać?

O godzinie piątej rano, skończywszy trzecią pulę preferansa, pan Ludwik wyniósł się wbrew zwyczajowi, cicho, po angielsku, posłał po Franka by zajechał, siadł i do domu wyruszył. W drodze

trapiły go myśli przeróżne, a gdy zajechawszy przed werandę zobaczył Marcinka już na nogach i do tego w liberji, wydało mu się to bardzo podejrzanem, bo chłopczysko trudny był do obudzenia. Pan Ludwik nie wiedział, że pani Malinowska chcąc złe naprawić, już od godziny cały dwór zbudziła, a teraz sama piekła bułki i placki aby goście mieli coś dobrego do kawuńci.

Pan Ludwik o nic Marcinka nie pytając, który stał ze światłem, wszedł na werandę; tu jednak nie patrząc pod nogi, uderzył butem o jakiś przedmiot twardy. Był to jeden z kufrów jego brata.

— A to co? — zawołał.

— To kufer tych państwa, co tu wieczór przyjechali.

— Jakich państwa? Poświeć ośle!

Marcinek zniżył świecę; na środku kufra, zwyczajem angielskim, była duża blacha mosiężna, na niej zaś napis: Stanisław Wybicki.

— Jak Boga kocham to Stach! — huknął gospodarz i pod wpływem pierwszego wrażenia byłby zaraz pobiegł do pokoju gościnnego, gdyby mu w tem nie był przeszkodził zły geniusz Marcinka. Chłopiec miał oddawna klucznicę i kucharza na wątrobie, pierwsza bowiem nie najlepiej jeść mu dawała i często przed panem oskarżała, który wtedy harapa nie żałował, kucharz zaś, zwłaszcza gdy podczas obiadu Marcinek przychodził z półmiskami do kuchni, ciągnął go za uszy za najmniejszą nieostrożność a czasami i za czuprynę wytargał. Chłopak osądził, że godzina jego zemsty teraz wybiła.

— Proszę jaśnie pana — rzekł — ci państwo przyjechali zaraz z wieczora i do północy czekali w przedpokoju. Nie było ani światła, ani herbaty, nic.

— Co ty mówisz? — krzyknął gniewnie pan Ludwik — oni tu czekali?

— A tak proszę jaśnie pana... Jak tylko jaśnie pan za bramę wyjechał, to pani Malinowska z kucharzem zaraz na dryndulę i drugą bramą polami, hejże do miasta! Ona zawsze tak robi jak jaśnie pan wyjedzie.

— A stara czarownico! ten tego... dam ja tobie! A ty, hultaju, czemuś nie siadł na konia i mnie nie dał znać do Zarzecza?...

— Ja proszę jaśnie pana nie wiedział — odrzekł chłopak przestraszony.

— Nie wiedział, ten tego... nie wiedziałeś hultaju! A czy ty wiesz kto to przyjechał... mój brat! Mój brat rodzony! jedyny! i wyście mu kazali siedzieć w przedpokoju, o głodzie, bez światła! Łotry dam ja wam!

To rzekłszy chwycił Marcinka za rękę, poczem szybko zdjął harap obok drzwi wiszący, którym w dzień odpędzał psy cisnące się do dworu. Chłopak wiedząc na co się zanosi, puścił się młyńca w naiwnem przypuszczeniu, że tym sposobem plag uniknie. Ale pan Ludwik obracał się tylko jak oś na jednem miejscu i chłopca prażył harapem na głos cały wołając:

— Cicho hultaju! Gości mi pobudzisz! Łotry to wy tak przyjmujecie mego brata rodzonego! Dam ja wam ten tego... darmojady! Cicho hultaju! nie wiesz że państwo spią!... Łotry! ja ledwie za bramę ten tego, a wy hejże do miasteczka! Poczekajcie, nauczę ja was rozumu! Mores ten tego, mores! Cicho urwisie, nie wrzeszcz, bo mi gości pobudzisz!

Po trzykroć biedny Marcinek zrobił koło fatalne, a potem szczęśliwie wyrwał się swemu panu i z trzaskiem drzwi otwierając, przez przedpokój wpadł do sieni. Pan Ludwik osądziwszy, że od dawna nie miał lepszej sposobności do wymierzenia chłosty wszystkim winowajcom, pobiegł za chłopakiem, a gdy ten wymknął się do ogrodu, jednem silnem uderzeniem przywitał obie nimfy, które dnia poprzedniego myły podłogę, a teraz w sieniach słuchały krzyku na werandzie. Przywitane w sposób tak niegrzeczny, cofnęły się do piekarni z krzykiem: „Jezus, Marja, Józef!“ a dziedzic sapiąc z gniewu i zmęczenia, uderzył w drzwi prowadzące do pokoju klucznicy. Te jednak zastał zamknięte.

— Otwórz stara wiedźmo! — wołał pan Ludwik coraz głośniej — bo jak cię chwycę, to ci wszystkie kości połamię! Dam ja ci miasteczko, dam! I dziwić się to potem, że gospodarstwo idzie na psy! Otwórz ten tego, bo ci drzwi wywalę!

Pani Malinowska nie myślała otwierać. Znając swego pana i wiedząc że gniew prędko go omija, przycupnęła w rogu pod piecem i ani słowa nie przemówiła. Gdyby pan Ludwik miał słuch lepszy, byłby dosłyszał cichy szept klucznicy, często powtarzającej:

— O! słodkie drzewo krzyża świętego!

Nie doczekawszy się by drzwi otworzyła i nie mogąc nigdzie dojrzeć kucharza, który z kuchtą czmychnął do kurników, podczas gdy strzelec, Walek, ten sam co góralowi pomagał kufry znosić, do stajni się salwował, pan Ludwik ochłonął nareszcie z gniewu i sapiąc jak miech kowalski, skierował swoje kroki ku tym stronom, gdzie były pokoje gościnne.

Właśnie pan Stanisław zbudzony tą wrzawą piekielną i nie mogąc domyśleć się jej przyczyny wyskoczył prędko z łóżka, zarzucił płaszcz na siebie a wziąwszy do ręki swiecę zapaloną, otworzył drzwi na kurytarz.

— Panie Jezu Chryste! — huknął tuż przed nim głos tubalny — przecie to Stach! mój Stach! Ale siwy jak stary dziad! — dodał ciszej — Chryste Panie co się z tobą stało?!

Na ten głos, w którym czuło się łzy z serca płynące, panu Stanisławowi świeca z rąk wypadła. Uradowany widokiem brata, który rozwarł ramiona, rzucił mu się w objęcia i długo tak obadwa stali płacząc i z głębokiego wzruszenia nie mogąc słowa przemówić. (C. d. n.)

Szermierz pióra.

Powieść

WEDŁUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

(C. d.) Odpowiedź, którą chciał dać Atkins, przerwało zapukanie do drzwi, a gdy je otworzono, wszedł człowiek niemłody, mocno siwiejący, skromnie, ale bardzo porządnie ubrany, powierzchowności sympatycznej, w całem wzięciu zdradzający pewną ogładę, przy wielkiej zresztą skromności. Gdy wszedł, przemówił dobrą francuzczyzną:

— Przepraszam, lecz wskazano mi państwa pomieszkanie. Jestem stolarz Erlong, obcy pan pytał o mnie wczoraj i kartę zostawił ze swoim adresem; o ile mogłem wyrozumieć z mowy mojej sąsiadki, mają mnie o coś pytać. Wszak dobrze trafiłem?

Atkins znowu słowa nie zrozumiał. Joanna przetłumaczyła mu treść przemowy na angielskie, a potem zwróciła się do pana Erlong, mówiąc po francusku, którym to językiem władała znakomicie.

— Uwiadomiono pana najdokładniej. Odwidziny jednak tego oto pana — tu ręką Atkinsa wskazała — tyczyły się nie tyle pana Erlong, ile jego siostrzeńca, Jana Haulin, któregoś pan po śmierci rodziców wziął do siebie i odtąd zawsze u ciebie zostaje. Właściwie jego szukamy i dla niego chcieliśmy oboje iść do pana.

— Jana państwo szukacie? Mój Boże! już go nie ma w domu od sześciu tygodni. Zaraz po wypowiedzeniu wojny, dom opuścił i zaciągnął się do szeregów.

Joanna zbladła jak ściana. Znowu napróżno! Zawód jednak, który przychodził niszczyć tak już pewną nadzieję, a który byłby odjął każdej innej wszelką odwagę, ją napełnił tylko goryczą i bodźca nowego dodawał. Usta do krwi zagryzła, a końcem nogi niecierpliwie biła o posadzkę. Chociaż nie wyraziła tego słowami, w rysach jej czytało się dokładnie, że mimo wszelkich przeszkód i niepowodzeń, pójdzie naprzód jak przyrzekła.

Pan Atkins nie przyjął tak spokojnie udzielonej mu wiadomości. Jego zniechęcenie wylało się jak zwykle potokiem słów gwałtownych.

— A co, nie mówiłem, że dziś dwie armje obejmują ludzkość całą! O kogo tylko zaczepiliśmy w trakcie naszych poszukiwań, o kogo spytali, odebraliśmy jednę i tę samą odpowiedź: „W armji lub w pruskiej niewoli.“ Te dwie armje, bez przesady, świat cały dziś reprezentują. Jestem przekonany najsilniej, że i młodego pana Forest, jeżeli znaleźć potrafimy, to tylko w jednych lub drugich szeregach.

Stolarz nie rozumiał wprawdzie po angielsku, ale wyczytał z twarzy obojga, jak są dotknięci tą smutną wiadomością. Ton rozpaczliwy pana Atkinsa, zdradzał aż nadto jego rozdrażnienie.

— Tak, tak, nam też ciężko bez niego — opowiadał stolarz dalej — był on mi prawą ręką, uważaliśmy go jak syna. Moja biedna Rózia więcej go nawet niżeli brata kochała. Mieliśmy już dyspenzę z Rzymu, byliby się pobrali tej jesieni. Teraz mało sobie oczów nie wypłacze, tak jej tęskno za nim. Niedawno temu wioząc deski do warstatu, wywrócił się z wozem, a deski padając na niego, nogę mu zgruchotały w dwóch miejscach. Nogę nieźle naprawiono, jednak będzie już wiecznie na nią utykał. Byłoby to mu posłużyło za wytłumaczenie i z pewnością byliby go od wojska uwolnili, ale nie dał sobie o tem ani mówić. Ręce łamał w rozpaczy, że kiedy inni starsi, ojcowie rodzin, idą za kraj walczyć, on młody, wolny, ma za piecem siedzieć, że i tak nie przeżyłby tej hańby! Cóż było z nim robić? Nie chcieliśmy brać także na nasze sumienie grzechu, który on za tak ciężki uważał. Daliśmy mu więc krzyżyk na drogę, wyprawili jak syna, żegnając go łzami rzewnemi. Wczoraj właśnie wybiegliśmy wszyscy na drogę, bo nam zrobiono nadzieję, że może jest w oddziale Franc-Tireurów, którzy tędy przeciągali, lecz nie było go między nimi, nawet nie mogliśmy o nim zasięgnąć najmniejszej wieści, a już tak długo na tę pociechę czekamy.

Biedny stary obtarł oczy nieznacznie, a pan Atkins wysłuchawszy tłumaczenia Joanny, wybuchł na nowo.

— Grzech! grzech! Słyszane to rzeczy! Prosty rzemieślnik, kulawy do tego, porzuca narzeczoną, rzemiosło, ślub i tam dalej, kiedy nikt od niego tego nie żąda, przez jakiś romantyczny patrjotyzm! Nibyto nie było by się tam bez niego obeszło. Jeden więcej, jeden mniej, wielkie nieszczęście! Ci ludzie wyraźnie sfiksowali w poczuciu honoru i obowiązków, w manję to u nich przeszło.

Joanna nie słuchała wcale słów jego. Kiedy Atkins wszystko już uważał za stracone, jej błysnął nagle promień nadziei. Zwróciła się szybko do pana Erlong, zapytując:

— Młody Haulin był państwu tak blizki krwią i sercem, miał nawet zięciem waszym zostać, mówił wam zapewne nieraz o przeszłości swojej, która nas wielce obchodzi. Chcieliśmy dowiedzieć się od niego szczegółów, tyczących się sprawy familijnej, za które to szczegóły umielibyśmy być wdzięczni.

— Nie ma tam nic tak ciekawego w jego życiu, zanim do nas przyszedł, spędził je w ubogiej chacie rybackiej. Proszę jednak pytać, a chętnie na wszystko odpowiem.

Atkins usunął się na bok. Uważał, że Joanna pragnie sama rozmowę prowadzić i że męczy ją nadto ciągłe tejże tłumaczenie.

Nie był jej zresztą ciekawy, będąc z góry przekonanym, że do żadnego pożądanego rezultatu nie doprowadzi. Joanna też pomocy wcale nie potrzebowała. Stawiała pytania tak jasno, z taką energją i pewnością, że najwytrawniejszy sędzia śledczy lepiej by nie potrafił.

— Pański siostrzeniec urodził się w C*, małej wiosce rybackiej, niedaleko Brestu?

Erlong zrobił znak potwierdzający.

— Po śmierci rodziców wzięliście go na wychowanie, z waszego już domu odsługiwał wojskowo, temu lat dziesięć i odtąd u was zostawał, zajmując się rzemiosłem?

— Tak, tak, to nasz Jaś. Wszystko na włos się zgadza.

— Czy opowiadał panu kiedy — głos Joanny zadrżał wewnętrznem wzruszeniem — o bracie, z którym rósł i chował się pospołu?

— O! bardzo często. Nie był to brat właściwie, tylko dziecko znalezione w Brešcie nad brzegiem morza, które rodzice jego ztamtąd przywieźli i trzymali w domu z dobrego serca, gdy nikt się po nie nie zgłosił.

Joanna spojrzała tryumfująco w stronę Atkinsa, przecież była na tropie.

— Więc to jest panu wiadome. Później byli chłopcy rozdzieleni, lecz czy i ten drugi znalazł umieszczenie?

— Tak, wziął go do siebie pewien uczony.

Joanna podniosła głowę z bolesnym wyrazem, jakby nowego doznała zawodu.

— Uczony? — powtórzyła zwolna — nam mówiono, że był nim ksiądz proboszcz z poblizkiej parafji, nazwiskiem Dubois?

— Był on proboszczem, ale przytem wielce uczonym. Po całych dniach ślęczał nad swemi książkami. Gdy odsługiwali wojskowo, zeszli się razem młodzi ludzie, wtedy nasz Jaś był razem z bratem u księdza Dubois i dużo nam o nim opowiadał. Wreszcie oddał parafję z pensji rezygnując — miał ładny mająteczek — i odtąd już tylko swoim studjom poświęcał się wyłącznie.

Joanna struchlała i zbladła śmiertelnie. Błyskawica rozdarła nagle ciemności głębokie, które dotąd ciężyły na losie i postaci brata, robiąc go dla niej niewidzialnym i nie dającym się odszukać. Błysk to jednak musiał być rażący, oślepiający! Oświetlił przed oczyma jej duszy jakąś otchłań straszną, bezdenną, kiedy na jej widok, siostra, dotąd tak odważnie, z taką wytrwałością do celu dążąca, zadrżała i prawie skamieniała, zdjęta trwogą niepojętą.

— Co ci jest, miss? — zawołał Atkins zaniepokojony, podchodząc ku niej.

— Nic! nic! — Joanna zrobiła znak ręką, jakby go usunąć chciała; oddychała z ciężkością, a druga ręka, którą o stół się opierała, drżała jak w febrze.

— Czy wiadomo panu, że dotąd żyje tamten brat przybrany i czy utrzymuje stosunki z pańskim siostrzeńcem?

— Żyje dotąd z pewnością — odrzekł stolarz spokojnie. — Nie dawniej, jak na Świątki, miał Jan list od niego.

— Zkąd? Jak był podpisany?

Erlong wzruszył ramionami.

— Tego, przy najlepszych chęciach, powiedzieć pani nie mogę. Wspominał nam o bracie, którego zawsze bratem nazywa, mówił, że mu się dobrze powodzi, listu jednak nie czytaliśmy, ani ja, ani moja córka; koperty też w ręku nie miałem. Zdaje mi się, że list przybył z Bretanji, z nad Loary, niedaleko od Brestu, gdzie niegdyś obaj przebywali, bo i o tem coś nam nadmienił.

— Właśnie ztamtąd przybywamy — odrzekła głucho Joanna. — O! gdybyście mogli wskazać nam dokładnie miejscowość, zkąd list przyszedł, pan lub jego córka!

— Nie możemy, dobra pani, bo sami nie znamy jej wcale.

— To może mi pan wskażesz, w jakim oddziale służy pański siostrzeniec? Musieliście przecie odbierać od niego listy podczas wojny?

— Ani jednego dotąd. To wprawia w taką rozpacz moją córkę! Nic nie wiemy, gdzie się obraca i co się z nim dzieje!

Joanna jakby już wszelkie siły wyczerpała i tchu jej nie stało, zamilkła zupełnie, nawet na pożegnanie zdobyć się nie mogła! Atkins czekał czas jakiś, zdziwiony tą nagłą w niej zmianą, tą bezwładnością po takiem gorączkowem śledztwie, wreszcie wziął na siebie pożegnanie grzecznego pana Erlong. Stolarz powstając, skłonił się Joannie, która zaledwie, jakby we śnie, głowę też schyliła. Atkins użył znowu swej wymownej mimiki, żeby wyrazić całą wdzięczność panu Erlong, ściskał go za ręce po kilka razy, ze swoim najmilszym, na jaki go tylko stać było, uśmiechem. Kto wie? może ten człowiek jeszcze raz będzie im potrzebny, a wtedy rozum nakazuje zaskarbić go sobie na przyszłość. Atkins skoro kogo potrzebował, umiał być dla niego grzecznym aż do przesady.

Gdy Erlong już był za drzwiami, wrócił się Atkins prosto ku Joannie dążąc, a biorąc ją za obydwie ręce, głośno zawołał:

— Obudź-że się miss wreszcie i powiedz mi na miły Bóg, co tu zaszło tak panią przerażającego?

Joanna wstrząsła się, ręce z niechęcią wyrywając, następnie czoło dłonią potarła, jakby istotnie spędzić z niego chciała myśli złowrogie i głosem przytłumionym, drżącym, w kilku słowach treść rozmowy mu przytoczyła, nie zdradzając się jednak ze swemi tajnemi przeczuciami.

— A więc nic nam nie zostaje, jak wracać napowrót nad Loarę. Ogłosimy następnie we wszystkich dziennikach, czy kto nie wie o Janie Haulin i w jakim pułku służy; tu zostać nie możemy i celu w tem nie ma żadnego.

Joanna skoczyła w górę rozdrażniona w najwyższym stopniu.

— A jednak zostaniemy tu, co tam ogłoszenia znaczą! Będziemy sami dopytywać się u przechodzących oddziałów, czy który nie wie czego o Haulinie.

— Ależ Jenny, to już wszystko przechodzi! Chcieć wśród wojny odszukiwać żołnierza prostego i jego pułk, myśl więcej jak szalona!

— Może i szalona, mniejsza o to! Ja muszę teraz mieć pewność, muszę wiedzieć prawdę, rozumiesz pan! Gdyby mnie to miało życie kosztować! gdybym miała iść w ogień, na linję bojową, pójdę bez wahania! — ale pewność zdobyć muszę!

Atkins oniemiał przerażony przed tym wybuchem tak gwałtownym, tak gorąco namiętnym. W życiu nie widział Joanny w takim stanie, nawet nie przypuszczał u niej podobnego uniesienia.

— Zlituj się miss, powiedz, co ci jest? Wiedziałem, że te trudy nad siły zemszczą się na tobie, że im chcąc nie chcąc ulegniesz. Jesteś widocznie chorą. Blada, drżąca! Pójdę, może przecie znajdę doktora i pomoc jakąkolwiek.

— To przejdzie, uspokój się pan! Nic mi nie potrzeba! nic zgoła, chyba szklankę wody podaj mi pan z łaski swojej.

Atkins na serjo przestraszony, gdyż znał Joannę aż nadto dobrze i wiedział, że nie miewa żadnych napadów nerwowych, porwał butelkę, wiedząc, że teraz w hotelu nie można się niczego doprosić i pobiegł sam po wodę.

Tego tylko pragnęła Joanna. Skoczyła do drzwi, na klucz je zamykając. Gwałtownie potrzebowała chwilki samotności, zdawało jej się, że skona w tym przymusie! Córka Foresta nie mogła okazać cudzym oczom słabości, która nią owładła, wydawać jęki, które ją dusiły. Teraz upadła na kolana przed sofką, łkając głośno, konwulsyjnie, z rękami załamanemi.

— „Jeżeli ten ktoś nie ma żadnej rodziny, od dziecka sam jeden na świecie, a los rzuci to dziecko w szpony uczonego, który nic nie znał i nic nie ukochał na całej kuli ziemskiej prócz jednej nauki" — a list ten był z nad Loary! Przeczucie dotąd dziwne, nieokreślone, zmieniło się prawie w straszną rzeczywistość. Błyskawica rozjaśniła otchłań, odkryła tajemnicę, głęboko na dnie serca ukrytą. Dumna, zimna narzeczona Henryka, nie zdawała sobie dotąd sprawy z uczucia, które ją powoli ogarniało, bo nie chciała się sama przed sobą przyznać do niego. Teraz już nie było co ukrywać, biedne serce zdradziło się w jednym krzyku boleści niewymownej, zabójczej:

— Boże wszechmogący, oszczędź mi tego jednego! Niech zostanie raczej moim przeciwnikiem, moim wrogiem śmiertelnym! wszystko to znieść potrafię — tylko niech nie będzie „moim bratem!"

VII.

W piękny i jasny dzień wrześniowy słońce popołudniowe przebijało się przez konary, jeszcze gęsto liśćmi okrytych stuletnich kasztanów, osłaniających swym cieniem cudne kobierce z gazonów miękich jak aksamit, któremi jedynie pochwalić się mogą pańskie rezydencje we Francji i w Anglji.

Zamek B*, zabytek sięgający jeszcze średniowiecznych czasów, położony u stoku gór ciągnących się całem pasmem od strony zachodniej, był niezaprzeczenie jedną z najpiękniejszych posiadłości Francji środkowej.

Góry majestatyczne, częścią obrosłe zielono, częścią skaliste, tworzyły jakby amfiteatr wspaniały dla tej budowy starożytnej i wielkością swą imponującej; nadawały również całemu krajobrazowi uroku niezwykle romantycznego.

U stóp zamczyska, jako jego wierna wasalka, rozścielała się wieś tego samego nazwiska, w roskosznej dolinie, obfitującej we wszelkie dary Boże. Właściciele, ludzie bardzo bogaci, opuścili zamek na samym wojny początku.

Franc-Tireurom dobrze się tu działo. Prusacy tędy jeszcze nie przechodzili. Piwnice zastali zaopatrzone w wina najprzedniejsze, na olbrzymich i nader żyznych pastwiskach pasły się stada wołów i owiec, góry obfitowały w zwierzynę, a lud okoliczny był im oddany duszą i ciałem. (C. d. n.)

SZALONY.

V.

(Dok.) — „Ani byś pan dał wiarę — ciągnął dalej p. Bereźnicki, zapalając się coraz bardziej — jak śliczną była moja siostra, Zofia. Mickiewicz opisał przecudnie swoją Zosię w „Panu Tadeuszu," moja atoli była nierównie piękniejszą. Moja siostra była od tamtej słuszniejszą i oczy miała czarne, a czoło tak dumne, że ja sam patrząc na nią myślałem sobie: jakim cudem pod słomianą strzechą szlachcica zagrodowego, mogła się urodzić i wychować taka królowa?

Kochałem ją nad życie i nie było rzeczy, którejbym jej odmówił. Ona nawzajem odpłacała mi równie czułą miłością. Ponieważ ojciec nie mógł jej oddać na pensję, zacząłem ją więc uczyć sam, lecz wkrótce skończyła się nauka. Oto do roku okazało się niestety, że uczennica przeszła swojego nauczyciela i zabrała mu całą wiedzę. Odtąd Zosia kształciła się sama dalej, czytając chciwie dzieła, które jej Henryk przynosił.

Matka Henryka nie raz wspominała mojemu ojcu, że nieźleby to było, gdyby Zosia częściej do dworu zachodziła. Ojciec dziękował bardzo grzecznie za ten zaszczyt, ale córce nigdy do dworu samej iść nie pozwalał.

— Dosyć honoru — powtarzał do nas obojga — jeżeli tam pójdziemy raz na rok, na święta Wielkiejnocy. Nam nie wciskać się między pany.

— A czyż to my nie taka dobra szlachta, jak i oni? — odpowiadałem ojcu.

— Prawda, żeśmy szlachta i dobra... dyplom na pergaminie wisi w komorze i nie oddałbym go za miljony, lecz szlachcic a pan, to wielka różnica. Taki pan powie ci zawsze: bracie, gdy cię potrzebuje, ale jak skoro raz przestanie cię potrzebować, z pewnością ani spojrzy na ciebie. Taka już natura ludzka.

— Gdyby jednak Zosia częściej we dworze przebywała — perswadowałem dalej ojcu — mogłaby się więcej wykształcić i ogładzić.

— A jej na co tego? Czytać, pisać umie, Boga nauczyłem ją chwalić, tyś jej tam pokazał trochę z nauk rozmaitych, to chyba i dosyć. Alboż ona pójdzie za magnata? Jak da Bóg, pójdzie za jakiego hreczkosieja, który będzie potrzebował żony pracowitej i uczciwej, a nie grefiny. Wyznam ci otwarcie, że nawet to nie bardzo mi się podoba, że ten pan Henryk znosi jej książki rozmaite, które gotowe jej jeszcze głowę zawrócić.

— Książki pana Henryka są bardzo pouczające — wtrąciła Zosia.

— Dobrze już, dobrze — kończył ojciec. — Baw się więc temi książkami, ale dwór wybij sobie z głowy.

Zosia rada nie rada musiała go sobie wybić, chociaż stanąwszy w oknie lub na ganku, nieraz długiemi godzinami przypatrywała się jego ścianom białym, ciężko wzdychając. Biedna dziewczyna tęskniła do życia wesołego i do twarzy ludzkich, których we wsi prawie nie widywała.

Ksiądz proboszcz tłusty i wiecznie zaspany, leśniczy, który do wsi raz na tydzień zaglądał i rodzina ekonoma, oto całe towarzystwo, które zbierało się czasem u mojego ojca. Wszyscy oni byli ludzie poczciwi, z wyjątkiem jednego ekonoma, który wyglądał mi na człowieka bardzo podstępnego i zdolnego do najgorszych uczynków. Najbardziej to mi się nie podobało, że Henrykowi, który miał wtedy dopiero lat ośmnaście, ekonom czapkował i nadskakiwał nierównie więcej, jak samej dziedziczce. Widocznie podchlebstwami zasługiwał się młodemu panu, aby ten pozwalał mu spokojnie w pierze porastać."

VI.

— „Czy nie mógłbyś mi pan wytłumaczyć — mówił dalej p. Bereźnicki — zkąd to pochodzi, że na świecie rodzą się czasem ludzie dumni nawet tam, gdzie by się ich najmniej można spodziewać. Tak dumnym byłem naprzykład ja, o którym słusznie mógłby nie jeden twierdzić, że nie byłem ani z pierza, ani z mięsa.

Czasy, o których mówię, były jeszcze pańszczyźniane i wtedy to dwory miały nad poddanymi prawa bardzo rozległe. Ilekroć zdarzyło się, że mandatarjusz wymierzał chłostę wieśniakom na nią skazanym, byłem tem zawsze tak oburzony, że tylko z trudnością wstrzymywałem się od gwałtownego wystąpienia. Jakże gorąco wtedy dziękowałem Bogu, że urodziwszy się szlachcicem, nie mogłem być tak poniewierany! Gdyby mnie coś podobnego spotkało, mnie, którego nawet nauczyciel nigdy w szkole nie uderzył, musiałbym zabić tego, co mnie znieważył.

Gdym to raz powiedział ekonomowi, on uśmiechnął się złośliwie i odparł:

— Nie taki djabeł czarny, jak go malują.

Aż po ten dzień nie lubiłem ekonoma; odtąd zacząłem go prawie nienawidzieć.

Życie w domu schodziło nam dosyć jednostajnie. Ja doglądałem roli, pracując wytrwale jak każdy wieśniak; ojciec chodził koło bydła, Zosia zajmowała się gospodarstwem domowem. Po południu, gdy ojciec drzemał w izbie jadalnej, ona wychodziła na ganek i książki czytała. Wtedy zjawiał się najczęściej Henryk z nowemi książkami. Usiadłszy obok niej, rozmawiał czasem godzinę, czasem dłużej nawet, dopóki z pola nie wróciłem. Wówczas albo mnie zabierał z sobą do dworu, lub też grał z moim ojcem partję szachów, co staruszkowi bardzo się podobało. Pięknej tej gry nauczyłem ojca wróciwszy ze szkół i staruszek tak się w niej rozmiłował, że nie było u niego zabawy nad szachy.

Zdarzyło się raz, że kilka dni Henryk nie pokazał się w naszym domu, myśląc, że wyjechał do miasta lub ma gości u siebie, nie spieszyłem się do dworu. Przyznam się panu szczerze, że ta jego nieobecność była mi poniekąd na rękę; właśnie zaczęły się były żniwa, a wtedy nawet wizyta najprzyjemniejsza jest dla gospodarza bardzo uciążliwą.

W innem usposobieniu znajdowała się Zosia. Przeczytawszy wszystkie książki, pragnęła nowych. Kilkakroć wspomniała mi przelotnie, ażebym się dowiedział, co się dzieje z Henrykiem, lecz otrzymawszy odemnie odpowiedź zawsze wymijającą, przestała w końcu nalegać.

Piątego dnia nad wieczorem, gdyśmy oboje na ganku siedzieli, przyszedł ze dworu służący z pakietem. Spojrzałem na adres. Były to książki dla Zosi. Oddając pakiet siostrze, zapytałem służącego:

— Panicz w domu?

— W domu... leży w łóżku chory.

— Chory! — powtórzyła Zosia takim głosem, że ze zdziwieniem na nią spojrzałem.

Twarz mojej siostry była teraz blada i ręce jej lekko drżały, gdy pakiet rozrywała. W chwili, gdy osłona papierowa na ziemię upadła, na wierzchu książek ukazał się różowy bilecik. Zadrżałem nie wiedząc czemu i czekałem, ażali mi go siostra sama odda. Ona tymczasem w mniemaniu, że na nią nie patrzę, szybko chwyciła bilecik i ukryła go w fałdach sukni.

Oddaliwszy służącego, stanąłem przed Zosią.

— Henryk coś pisał do ciebie... Czy nie mógłbym przeczytać tego biletu?

— Do mnie?... Przewidziało ci się Bolciu — szepnęła blednąc coraz bardziej.

— Być może, że mi się przewidziało — odrzekłem odchodząc z ganku.

Zawstydziłem się, że siostra pierwszy raz przedemną skłamała — i boleśnie ścisnęło mi się serce na myśl, że Henryk już dawniej pisywał do Zosi. Wszak gdyby to był list pierwszy, siostra byłaby mi go pewnie oddała, nie wiedząc, co w sobie zawiera."

VII.

— „W tydzień po tem zdarzeniu, Henryk przyszedł do nas bardzo blady i zaczął mi robić wyrzuty, że przez cały ciąg jego słabości ani razu go nie odwidziłem. Nie wiedząc co odpowiedzieć, milczałem; Zosia za to tak wymownie mnie usprawiedliwiała, zwalając całą odpowiedzialność na zbyt wielkie zajęcie, że Henryk uznał jej tłumaczenie za wystarczające i na znak przebaczenia rękę mi uścisnął. On, on uścisnął moją dłoń szczerze i gorąco — lecz ja, ja nie mogłem mu odpłacić wzajemnością... Ręka moja musiała być bardzo zimna, puścił ją bowiem i nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy.

Od tego czasu, gdy ja byłem w domu, Henryk coraz rzadziej do nas zaglądał; najczęściej wybierał te godziny, które w polu spędzałem, a jeżeli we czwartek pojechałem na targ do miasteczka, wtedy z pewnością większą dnia połowę przesiedział z Zosią na ganku lub przy szachach z ojcem.

Widząc do czego to wszystko zmierza i na czem skończą się te częste wizyty, postanowiłem nareszcie pomówić z Henrykiem w cztery oczy. Upatrzywszy chwilę stosowną, wziąłem go pod ramię i zaprowadziłem do ogrodu.

— Daruj Henryku — rzekłem po chwili wahania, której potrzebowałem na zebranie całej odwagi — daruj Henryku, że dziś muszę ci powiedzieć kilka słów wcale nie miłych.

Henryk usłyszawszy to przystanął i badawczo spojrzał mi w oczy.

— To, co ci mam powiedzieć i o co cię prosić, jest równie niezbędnem dla nas, jak dla ciebie — ciągnąłem dalej, nie zwracając uwagi na jego wzrok badawczy. — Znamy się oddawna, kochamy nawzajem i szanujemy, lecz właśnie dla tego, że chciałbym cię zawsze kochać i szanować, potrzeba niezbędnie, byśmy się u mnie w domu jak najrzadziej widywali.

— Więc mi dom swój wypowiadasz?... A wolnoż wiedzieć za co? — zapytał Henryk głosem dobitnym, choć z gniewu lekko drżącym.

— Ja ci domu nie wypowiadam — odparłem spokojnie — ja cię jedynie proszę, byś do nas jak najrzadziej zaglądał.

— Słyszałem to już, panie Bolesławie, słyszałem, lecz radbym poznać powody.

— Jeżeli się ich nie domyślasz i chcesz je koniecznie z ust moich usłyszeć, to powiem ci, że ja się ciebie boję... Tak jest, boję się, boś nadto młody, nadto bogaty, nadto przystojny i nadto przyjemny. Nie powiem, byś rozmyślnie bałamucił moją siostrę, być może, że ona sama, bez twojego współudziału uczuła dla ciebie coś więcej jak życzliwość, tem łatwiej, że na tem pustkowiu ty jeden po ludzku z nią rozmawiałeś; lecz choćby w rzeczy samej tak było, nie idzie jeszcze zatem, byśmy obojętnie mieli patrzeć na pożar, który nas ogarnia.

— Ależ ja ciebie nie rozumiem Bolesławie!

— Pozwól niech dokończę, a pewnie mnie zrozumiesz. Moja siostra jest piękna, młoda i ma wyobraźnię trochę rozbujałą... taka dziewczyna mogłaby się zakochać w tobie do szaleństwa, a potem jaki byłby tego koniec? Tybyś się z nią pewnie nie ożenił.

— Kto wie.

— O, ja wiem, mój przyjacielu, że nie. Choćbyś nawet chciał popełnić takie szaleństwo, odwiodła by cię od niego twoja własna rodzina. Tyś pan, a my biedacy... nasza dziewczyna nie dla ciebie. Z drugiej zaś strony sam wiesz, żeśmy za dobrzy na to, by nasze siostry i córki były metresami...

Henryk usłyszawszy to, chwycił mnie kurczowo za ramię i z gniewu usta do krwi przygryzł.

— Nie gniewaj się przyjacielu. Jako brat miałem prawo wypowiedzieć całą prawdę. Nie jesteśmy już dziećmi, to też wiemy bardzo dobrze, na czem kończą się stosunki tego rodzaju... Droga już utorowana, bo o ile się domyślam, zaczęliście nawet do siebie pisywać. Aby więc nieszczęściu zapobiedz, daj mi słowo człowieka uczciwego, że ani do nas przychodzić, ani do Zosi więcej pisywać nie będziesz.

Henryk widocznie się wahał.

— Daj mi słowo — napierałem — gdyż w razie przeciwnym gotówbym przypuścić, że nie jesteś człowiekiem...

— Nie kończ! — zawołał prawie gniewnie, a potem dodał spokojniej: — Daję ci słowo, że pierwszy żadnego kroku nie uczynię.

— Dziękuję ci!

Tak rozeszliśmy się ostatni raz w życiu."

VIII.

— „Od tego dnia, Henryk nie pokazał się więcej w naszym domu, a i ja omijałem dwór zdaleka. Zofia głęboko cierpiała, wszelako nie zdradziła się ani jednem słowem, ani jednym jękiem. Nic jej nie będzie — myślałem — jakiś czas pożałuje, potęskni, a potem zapomni. Niech by się tylko rychło znalazł jaki porządny gospodarz, za którego by ją wydać można... ręczę, że pierwszy romans ulotni się prędko z młodej główki.

We dwa lub trzy tygodnie, gdy pewnego poranku stoję przy pługach, które pod oziminę orały, zjawia się na polu pan ekonom i zacząwszy rozmowę zdaleka, ogródkami, schodzi potem na Henryka.

— Bo to widzi pan — mówi do mnie, uderzając mnie poufale po ramieniu — ja wiem wszystko, wiem doskonale i bardzo się dziwię, że pan tak to sobie wziąłeś do serca. Nasz panicz bardzo grzeczny, bardzo hojny i o pannie Zofji pewnie by nie zapomniał.

— Czyś pan tu przyszedł w imieniu swego pana? — zapytałem gniew z trudnością powstrzymując.

— Uchowaj Boże! — zawołał ekonom przestraszony — ja przyszedłem sam, z własnej woli, bo widzę, że nasz panicz jakiś zagryziony i nie ma apetytu.

— W takim razie życzę ci wynieść się coprędzej za moją miedzę, gdyż gotówbym się jeszcze zapomnieć i połamać ci kości na mojem własnem śmieciu.

— Oho! jaki mi pan, jaki bohater! — rzekł odchodząc, a gdy już był odemnie o kroków kilkadziesiąt, dodał głośno: — Zobaczymy czy długo będziesz panował!

Wtedy nie przywiązywałem żadnej wagi do tej pogróżki, dziś jednak wiem niestety, co ona znaczyła...

Szóstego dnia wieczorem, gdyśmy się wszyscy spać pokładli, wszczął się pożar tak gwałtowny, żeśmy ledwie z duszą pouciekali. Wieśniacy, którzy zewsząd się zbiegli, ocalili zaledwie stajnię i stodołę; dom mieszkalny natomiast spłonął do szczętu. Ojciec z przestrachu i przeziębienia do tygodnia życie skończył, ja zaś po tych nieszczęściach jeszczem nie oprzytomniał, gdy z cyrkułu przyszedł rozkaz do mandatarjusza, aby niezwłocznie odstawił mnie do wojska. Nowy ten cios strzelił we mnie jak piorun. Mnie powołują do wojska, mnie, mimo że jestem szlachcicem? Czy oni oszaleli, czy bies ich opętał?!

Idę do mandatarjusza, pytam co to znaczy, a mandatarjusz człek zresztą bardzo uczciwy i niegdyś wielki mego ojca przyjaciel, odpowiada mi z głębokiem westchnieniem:

— Ja sam tego nie rozumiem... sądzę jednak, że gdy się pan Bolesław ze szlachectwa wylegitymuje, to cyrkuł odwoła rozkaz.

— Legitymacji nie mam — odrzekłem — spaliła mi się razem z domem.

— To źle, bardzo źle... W takim razie najlepiej pan jeszcze zrobi, udając się natychmiast do pana starosty, aby mu całą rzecz wyświecić. Widocznie musi tu być

w grze jakiś donos haniebny, obliczony na pańską zgubę.

Po tych słowach rozjaśniło mi się w głowie; w oczach stanął mi ekonom z uśmiechem szatańskim.

Ufny w czystość mojej sprawy, powierzyłem Zofię opiece pewnej niewiasty podeszłej, która nieopodal nas mieszkała, sam zaś wyjechałem do miasta.

Czy dałbyś pan jednak wiarę, że w cyrkule nie chciano mnie słuchać, że od drzwi starosty odtrącono mnie brutalnie i że nakoniec wzięto mnie przemocą do wojska! Tak, tak, mój panie, ostrzygli mnie jak chłopa prostego i mnie, Bolesława Bereźnickiego, szlachcica po mieczu i kądzieli, wbrew wszelkim prawom boskim i ludzkim, oddano pod karabin!*)

Powiedz mi teraz, mój młody panie, czy na ziemi jest sprawiedliwość?"

IX.

Bereźnicki siedział jakiś czas bezwładnie, patrząc przed siebie okiem bezmyślnem, prawie idjotycznem. Na jego czole zmarszczków tysiące przybyło, mięśnie na twarzy kurczyły się i drgały, usta zrobiły się sine, a ręce trzęsły się jak w febrze. Straszliwe musiały być wspomnienia, które w pamięci odnowił, kiedy napróżno po trzykroć doń przemawiałem... On mnie nie słyszał. Nareszcie w pół godziny zbudził się i znowu przemówił:

— „Wzięli mnie pod karabin i popędzili daleko, aż do Ołomuńca. Widząc że z losem nieszczęsnym muszę się pogodzić, byłem pilny i cierpliwy, ale mimo to nie otrzymałem żadnego stopnia. Mój kapitan nazywał mnie zawsze „der verfluchte Polak!" i chociaż porucznik nie raz mnie umieścił na liście podoficerów, kapitan zawsze mnie z niej wykreślał.

W ciągu roku który spędziłem w Ołumuńcu, kilka razy pisałem do siostry, pytając, co się z nią dzieje, lecz na żaden list nie otrzymałem słowa odpowiedzi. Po roku przenieśli nasz bataljon do Stryja, z kąd wkrótce miał wyruszyć do Węgier na wojnę.

Jaką była radość moja gdym znowu obaczył strony ojczyste, tego dziś wypowiedzieć nie zdołam. Myślałem żem pijany... Do Stryja przyszliśmy nad wieczorem, a o godzinie dziesiątej postawili mnie na straży pod prochownią.

Znurzony wsparłem się na karabinie i usnąłem. We śnie widzę biedną Zofję, bladą, wynędzniałą, jak ku mnie chude ręce wyciąga, wołając: Ratuj mnie bracie! Zbudziłem się, jakby grom we mnie uderzył i spojrzałem do koła. Przedemną stała prochownia, za memi plecyma księżyc oświetlał gaik olchowy, a na lewo ciągnęła się długa równina, na której w oddaleniu czterech mil od miasta, znajdowała się moja wioska. W niej żyła moja siostra.

Pójdę do niej pomyślałem, pójdę, a potem niech mnie wezmą i rozstrzelają. Ja wiem, że za ucieczkę śmierć mnie czeka, wolę jednak śmierć rychłą niżeli powolną... Jutro lub pojutrze popędzą nas do Węgier i tam zginę, nie uścisnąwszy nawet siostry... Czy więc nie lepiej zobaczyć ją i zginąć?

Zaledwie myśl ta błysła mi w głowie, rzuciłem karabin i jak kot puściłem się na wyskok przez pola.

Zkąd sił czerpałem, nie wiem... Dzień nie był jeszcze wielki, gdy stanąłem przed chatą tej samej kobiety, u której Zosię zostawiłem. Odchylając drzwi ostrożnie, wchodzę do sieni i przez drzwi od izby otwarte, spoglądam do środka. W rogu izby, przy kolebce niemowlęcia, siedzi moja siostra blada, wynędzniała i cichym głosem nuci piosnkę, którą dziecię do snu kołysze.

Głos coraz się zniżał, a potem całkiem skonał. Wtedy ona podniosła głowę i we mnie wzrok wlepiła. Jakiś czas przypatrywała się oddech tamując, a potem wyciągnąwszy ręce zawołała:

— Bracie mój! Bracie!

Z głośnym płaczem rzuciłem się w jej ramiona, ale Bóg nie pozwolił mi o nic ją zapytać, ani pomścić jej hańby! Prawie tej samej chwili gdym ją do serca przycisnął, przed chatą pojawił się oddział ułanów, który mnie okół w kajdany i między końmi z sobą uprowadził.

Moi przełożeni, znając mnie, wiedzieli, że tylko do domu mogłem uciec, to też tam posłali za mną ułanów...

Oddalając się, spojrzałem jeszcze za siebie. Siostra leżała omdlona na progu."

X.

— „Ze spokojem człowieka na wszystko przygotowanego, oczekiwałem sądu i wyroku. Byłem pewny śmierci, bo według praw wojennych na śmierć zasłużyłem.

Do trzech dni stawiono mnie przed sąd i wyrok wydano. Ale dasz pan wiarę, że ci ludzie nie skazali mnie na śmierć, nie! Oni wynaleźli dla mnie karę stokroć straszniejszą, haniebną, oni mnie na chłostę osądzili.

Panowie! — zawołałem, padając przed sądem na kolana — odbierzcie mi życie, wtrąćcie mnie na dwadzieścia lat do więzienia, ale nie bijcie mnie na Boga, nie odbierajcie mi czci szlacheckiej!

— Der Halunke sagt, er sei ein Schlachziz — zawołał kapitan głośno się śmiejąc. Za jego przykładem inni także śmiechem parsknęli.

Błagałem jeszcze i u nóg im się wiłem — wszystko napróżno! Po odczytaniu wyroku, przystąpiono do haniebnej egzekucji.

Co się wtedy ze mną działo, nie wiem... Dziś tyle jeszcze pamiętam, że gdy ostatni raz minąłem szereg żołnierzy, którzy rózgami katowali mnie bez miłosierdzia, byłem cały we krwi skąpany, ciało opadało ze mnie szmatami. Wtedy przystąpił do mnie podoficer żądając, abym za karę podziękował panu kapitanowi.

Kilka kroków zrobiłem naprzód i kto wie czybym był nie spełnił nawet tego rozkazu, gdyby w głowie mojej nie było nagle coś pękło... W oczach zrobiło mi się ciemno w skroniach zerwały się jakieś struny, oburącz chwyciłem się za głowę i jak kłoda upadłem u nóg kapitana. Później mówiono mi, że kapitan kopnął mnie i odszedł, lecz jam już wtedy tego nie czuł...

Rok cały trzymali mnie w szpitalu, potem jeszcze dwa

*) Do r. 1848 szlachta była w Galicji wolną od służby wojskowej. Władze dopuszczały się jednak rażących nadużyć. (*Prz. autora.*)

lata musiałem pełnić służbę wojskową, a później uwolniono mnie zupełnie mówiąc, żem warjat.

I w rzeczy samej muszę być warjatem, muszę być szalonym, kiedy od lat prawie trzydziestu, jem, piję i żyję mimo, że mnie tak shańbiono, że do dnia dzisiejszego siostry nie znalazłem, że ojcowiznę moją rozdrapali źli ludzie, — mimo że do tej chwili nikt mi nie powiedział, za czyje winy ja tak ciężko pokutuję!“

— Może za winy swoich ojców — wtrąciłem siadając na wózek.

Bereźnicki spojrzał na mnie, głośnym parsknął śmiechem, a chwytając lejce i bat do góry podnosząc:

— Szkoda czasu! — zawołał — szkoda czasu! My tu rozmawiamy, do Nowego Sioła jeszcze daleko, a Moszko czeka na konie. Hej kary! dalej siwy! Po kawalersku pojedziemy panie dobrodzieju! Po szlachecku panie dobrodzieju!

I śmiał się coraz głośniej i batem nad głową wywijał twarz zaś jego robiła się coraz młodszą i coraz weselszą.

Biedny szaleniec!

Nowe Sioło d. 20. Lipca 1878.

Audjencja u króla birmańskiego.

Jednym z najgłośniejszych korespondentów wojennnych jest bez wątpienia Archibald Forbes.

Żołnierz z krwi i kości, wytrawny przytem dziennikarz, ucieka od jednostajnego ruchu stolic — jego żywiołem obóz, najmilszem dlań posłaniem tornister, muzyką najprzyjemniejszą świst kul lub ryk armatni.

Żelaznego zdrowia człowiek drwi sobie z wszelkich przypadłości, tak nieuniknionych wśród marsowych kolei.

Forbes przetrwał oblężenie Paryża, był pod Plewną, przeszedłszy całą kampanję turecką, a gdy się tylko afgańskie rozpoczęły zatargi, stanął wprost pierwszej placówki wojsk Szir-Alego.

Daily News, dziennik, którego Forbes jest współpracownikiem, reprezentowany był przezeń przy wszystkich większych bitwach i szturmach. Korespondencje jego czytano z olbrzymiem zajęciem, rozchwytywano, nie znajdując dość słów podziwu dla odwagi i sprytu pisarza.

W tych dniach wspomniany dziennik otrzymuje znów list od Forbesa, ale tym razem... z Birmy!

Maleńką podróż z gór afgańskich do państwa króla Thibana, odbył Forbes cichaczem, z szybkością i zręcznością, jakiej turyści niewiele znajdą przykładów.

Za przybyciem do Birmy o Anglikach jeszcze tam źle nie mówiono, Forbes więc zakrzątnąwszy się, oglądał wszystko, co się dało, weisnąwszy się między innemi i na dwór birmański. Oto opis jego osobliwej audjencji.

„Król Thiban pozwolił mi się przedstawić w gmachu mającym styl pagody albo kiosku, ukrytym wśród rozłożystych drzew olbrzymiego ogrodu.

Stosownie do panującego tu zwyczaju, położyłem się na posłania z trawy, wyczekując Thibana.

W około mnie ułożyła się na brzuchach poważna gromada dworzan, ćmiąca z szykiem Europejczyków wonne cygareta.

Ofiarowane przezemnie królowi dary leżały niedaleko, a składały się one: z lornetki teatralnej, szkatułki mechanicznej i kilku pudełek czekolady.

Król ze swej strony przeznaczył mi różne niezmiernie dziwaczne podarunki, pomiędzy któremi były: suknia atłasowa futrem podszyta, dwie srebrne skrzynki i rubinami nasadzony pierścień. Obok tych upominków, na pewnem podwyższeniu, leżała wielka, złota, perłami ozdobiona miednica do spluwania i skarbonka jałmużnicza.

Otwierają się drzwi i nagle ciężkim krokiem wsuwa się szczściu nadwornych gwardzistów z rusznicami o dwóch strzałach, najrozmaitszych systemów.

Gwardziści stanęli po obu stronach zgromadzenia.

Za nimi zjawił się najstarszy rzezaniec, a za nim, bez wszelkiego orszaku, wstąpił król.

Król miał na sobie szatę spodnią żółto-zieloną i wierzchnią krótszą z białego jedwabiu.

Jedyną jego ozdobą były djamentowe kolce.

Przy wejściu jego skłonili się wszyscy głęboko, a po chwili król zajął miejsce na podwyższeniu.

Wówczas wśliznął się w pokorze herold i głosem „psalmów“ przeczytał następującą przemowę:

„Archibald Forbes, wielki uczony gazety *Daily News* z Londynu, składa następujące dary waszemu najjaśniejszemu majestatowi, panu Isaadżanu, królowi słoni, rozkazodawcy wielu białych słoni, panu kopalni złota, srebra, rubinów i bursztynu, jakoteż kopalni szlachetnego kamienia wężowego, zwierzchnikowi kraju Thunaparanta, Tampadina i wielu innych państw, naczelnikowi wszystkich parasole noszących głów, obrońcy wiary, urodzonemu z słońca monarsze, władcy życia i śmierci, największemu królowi, królowi królów, właścicielowi bezgranicznych obszarów i niedościgłej mądrości.“

Na końcu herold, jakby na wzór naszego *Amen*, wyspiewał długie: „Fya—a-a-a-a.“ (O panie!)

Podczas tego król królów i właściciel niedościgłej mądrości żuł tytoń i puszczał lekkie obłoczki z cygareta. Dworzanie otaczali się gęstszemi kłębami duszącego dymu tytoniowego.

Nagle zapytał król:

— Czem on jest?

— Pisarzem gazety *Daily News* z Londynu, najjaśniejszy panie — odpowiedział tłómacz.

— A po co tu przyszedł?

— Zwiedza kraje waszego majestatu, jak nie mniej w nadziei, iż będzie dopuszczony do uczczenia złotego oblicza.

— Zkąd pochodzi?

— Z wojsk angielskich, które pobiły księcia Kabulu.

— A dobrzeż się powodzi w tej wojnie moim przyjaciołom Anglikom?

— Powiada mi, iż szczęście im sprzyja i książę Kabulu ratuje się ucieczką.

— Jak daleko Kabul od Kaszmiru?

— Między Kaszmirem a Persją, w górzystej i zimnej okolicy.

— Gdzie jest Kingwoon? (minister-prezydent).

— W sądzie — odparł jeden z dworzan — dziś najjaśniejszy panie dzień rozpraw.

— Tak dobrze; chcę, aby ministrowie codzień sądzili, wymierzając natychmiast potrzebującym sprawiedliwość, iżby żadnych skarg o zwłokę nie było.

Po tych słusznych słowach, król przeszedł dumnie i audjencja była skończoną.

Thiban liczy lat dwadzieścia, mężczyzna zeń tęgi, dobrze zbudowany, ma białą skórę, piękne czoło, jasne przenikliwe oczy, silne, przyjemnego wyrazu usta, choć całe oblicze zmysłowem trochę się wydaje.

Mówiono mi, iż pewnej nieśmiałości i zakłopotania, które przejawiał przy wstąpieniu na tron, pozbył się już młody król zupełnie.“

ŻONA PODŁUG TEGOCZESNYCH WYMAGAŃ.

Pan W. jest kandydatem do stanu małżeńskiego.

— Wiesz co — mówi do przyjaciela — mam ochotę ożenić się z panną Karoliną.

— Przyznam ci się, nie zupełnie pochwalam twój wybór, panna Karolina wprawdzie coś mieć będzie ale wcale nie ładna.

— Być może, ale żebyś wiedział jaka głupia!...

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.